

WOJCIECH NATANSON

## UBIEGŁY WARSZAWSKI SEZON TEATRALNY

Choć sezon 1965/66 już się zakończył i przeżywamy nowe doświadczenia, pragnąłbym spróbować pewnej retrospekcji. Sezon ubiegły był pod niejednym względem ciekawy, a wnioski, które nasuwa mogą mieć znaczenie także i na przyszłość. Sezon ten, rozpoczęty w Warszawie nie nazbyt szczęśliwie, zakończył się bardzo pięknie. Jakby teatry nasze potrzebowały nieco czasu, by się „rozpedzić” i osiągnąć wyniki. Do wydarzeń dużej miary zaliczyłbym „Koriolaną” w Teatrze Powszechnym, ze świetną rolą Mariusza Dmochowskiego; kreację Gustawa Holoubka i ogromne osiągnięcia reżyserskie Kazimierza Dejmka w „Namiestniku”; piękną „Śmierć na gruzach” Wandurskiego w inscenizacji Józefa Szajny oraz niedoceniony spektakl Różewiczowski w „Ate-neum”; renesans Witkacego; przejmujące i czyste artystycznie przedstawienie sztuki Peter Weissa „Dochodzenie” w Teatrze Współczesnym; wreszcie pełne wdzięku młodzieńskie „Śluby panięskie” w „Roz-maitościach”.

Co nas uderzy, gdy się przyjrzymy tym przykłodom? Można stwierdzić dobrą formę wielu naszych aktorów. Na przykład: Gustawa Holoubka, który przełamał przekonanie, że jest aktorem wyłącznie „intelektualnym”, „chłodnym”, „drwią-cym”, „ironicznym”.

Drugim zjawiskiem pociesającym są sukcesy reżyserskie. Kazimierz Dejmek dał nienajlepszej sztuce Hochhuta kształt, który jej zapewnił sukces artystyczny; niepowodzenie niektórych innych realizacji tego utworu poza Warszawą świadczy jak poważny wysiłek podjął inscenizator i aktorzy. Inny przykład: rozwiązanie łamięłówek, jakie Erwinowi Axerowi nastęrczała piękna i ambitna sztuka Weissa. Uczynić pasjonującym widowiskiem owo dantejskie „oratorium procesowe” — to sprawa niełatwa.

Z okazji 200-lecia sceny narodowej pisałem nie bez goryczy, że „Fredro nie został zaproszony”, gdyż poza „Dożywociem” w reżyserii Jerzego Kreczmara, oraz „Zemstą” w Narodowym, przez dłuższy czas zabrakło na scenach Warszawy sztuk jednego z mistrzów scenicznego dowcipu. Ale kilka miesięcy później Janusz War-miński wystawił interesującą i śmiało, a z respektem dla istotnych wartości tekstu, „Męża i żonę”, wkrótce potem w Ludowym ukazało się miłe przedstawienie „Gwałtu co się dzieje” i „Nikt mnie nie zna”, Narodowy przygotował „Nowego Don Kichota”, a zapowiada nową inscenizację „Ślubów”. A więc zaproszenie dla Fredry, choć spóźnione, jednak nadeszło!

W chwili, gdy piszę te słowa, Adam Hanuszkiewicz przygotowuje nową inscenizację „Wyzwolenia”, w której zagra rolę Konrada. Równocześnie trwają prace nad „Kleopat-rą” Norwida w Narodowym, w reżyserii jednego z najbardziej utalentowanych inscenizatorów młodego pokolenia, Mieczysława Górkiewicza. Trzeba to wziąć pod uwagę, gdy się mówi o sezonie ubiegłym, przygotowującym przecież — osiągnięcia obecne. Trudno też zapominać, że „Historja o Chwalebnym Zmar-twychwstaniu” dalej stanowi niewy-gasające źródło doznań, a „Żywo-t Józefa” osiągnął niemały sukces w Holandii, o czym się mogłem przekonać przeglądając przywiezione stam-tąd materiały prasowe. Dla widzów

Amsterdamu i Hagi było rewelacją, że tak wspaniale i uroczym można wystawić dawne moralitety. A zapewne równie miłym spotkaniem będzie dla publiczności czeskiej Schillerowska „Pastorałka” przez Kiliana i Wilkowskiego wystawiona w Teatrze Powszechnym.

Wspominałem renesans Witkacego. Pamiętam tego artystę-filozofa z obiadów przedwojennych w jaskiej restauracyjce na Boduena i z zebrań dyskusyjnych u Nakłowskiej, czy w Związku Literatów (gdzie, bładz z gniewu, zupełnie serio, dawał słowo honoru, że już nigdy w życiu nie przeczyta ani jednej literki z pism Karola Irzykowskiego, który mu dokuczył). Witkacy ma obecnie w Warszawie dwoje reżyserów — specjalistów. Wandę Laskowską, inscenizatorkę „Wariata i zakonnicę”, „W małym dworcu”, „Kurki wodnej”, „Mątwy” i „Wścieklicy” (piękne przedstawienie w Narodowym) oraz Skarucha, który pomysłowo, inteligentnie i dowcipnie wystawił „Onych” (ze znakomitą rolą Boukołowskiego). Ale trochę mnie serce boli, że jakoś zapomniano o utworach innych nowatorów, np. Tytusa Czyżewskiego, Józefa Czechowicza, Tadeusza Peipera, Jalu Kurka. Zapomniano zresztą także o Szaniawskim i Morstinie, Zawieyskim i „Święcie Winkelrieda”.

Tu już, jak widać, zaczyna się lista pretensji. Stefan Polanica, pisząc niedawno o ubiegłym sezonie, naliczył zaledwie trzy polskie sztuki współczesne w zeszcłorocznym repertuarze scen warszawskich. Prawdę mówiąc, było ich nieco więcej. Ale nie za dużo. Do wartościowych zaliczam „Garść piasku” Jerzego Przędzieckiego, a ilość blisko stu przedstawień w teatrze „Rozmaitości” stanowi dość ważki dowód, że sztuka ta i jej realizacja odpowiadały widzom. O „Tangu” nie piszę, gdyż premiera ta należy do poprzedniego sezonu. Spektakl Różewiczowski w „Ate-neum”, złożony z „Naszej Małej Stabilizacji” i „Śmiesznego staruszka” (prapremiera!) otworzą chyba z powrotem, i najszerzej wrota warszawskich teatrów temu świetnemu poecie; już zresztą dwie sceny studenckie w Warszawie grają „Akt przerywany”, a Teatr Narodowy da w najbliższym czasie premierę sztuki „Wyszedł z domu”. Ale dość ciekawe były losy innego młodego dramtopisarza, z którym wiąże duże nadzieje: Janusza Krasieńskiego. Studenckie „Hybrydy”, kierowane przez Jana Pietrzaka i Witolda Rutkiewicza, przy współpracy reżyserskiej Mariusza Dmochowskiego, wystawiły jednoaktówkę Krasieńskiego pt. „Czapa”, przerobioną następnie na pełnospektaklowy utwór „Śmierć na racy”. W tej nowej wersji pokazały „Hybrydy” ów utwór w Turcji — i otrzymały nagrodę. Sztukę Krasieńskiego wystawił też teatr kielecki, a zapowiadają ją warszawskie „Roz-maitości”. Krasieński ma zresztą w dorobku i inne wartościowe utwory, którymi powinny się zainteresować nasze teatry. Na razie pionierską rolę odegrały „Hybrydy”, które wystawiły — również godne uwagi — sztuki Krzysztonia i Odojewskiego.

Zapewne, gdybym miał wpływ na warszawskie życie teatralne, niejedno bym w nim usiłował zmienić, niejedno marzenie zrealizować. Myślę, że wielu Czytelników „Stolicy” postąpiłoby podobnie. Postulat większej ambicji, który wysuwałem w serii artykułów zamieszczanych w „Stolicy” przed kilku miesiącami, podtrzymywałbym jak najmocniej, ale trzeba przyznać, że w wielu punktach sytuacja się poprawia. Zapukam w nieheblowane drzewo, muszę jednak powiedzieć, że druga połowa ubiegłego sezonu budziła więcej uznania, niż zastrzeżeń.



Scena z aktu II: Wieśniaczki

Fot. Jacek Stelski

## WIECZORY TEATRALNE

# ZAPROSZONO FREDRĘ

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, jak wiosną br. w cyklu artykułów o warszawskim repertuarze teatralnym, drukowanych w naszym piśmie, Wojciech Natanson upominał się o Fredrę. Dlaczego na uroczystości jubileuszowe sceny narodowej nie zaproszono naszego największego komediopisarza? Dyrektorzy teatrów tłumaczyli wówczas, że Fredro przedstawia dziś bardzo trudne do przewyciężenia kłopoty realizacyjne, że młodsze pokolenie aktorów nie umie mówić jego wiersza, że nie ma odpowiedniej obsady do większości ról itp. A zagrać go źle — to hańba.

Minęło pół roku i oto TEATR NARODOWY pokazał nam, że jego aktorzy potrafia jednak wzbudzić w sobie zapal do poezji i humoru Fredry i zagrać go znakomicie, dowcipnie, muzykalnie, ze świetnym wycuciem smaku i rytmem wiersza. Oczywiście, łatwo się domyślić, jak wyteżona praca poprzedziła tę premierę — ale gra okazała się warta świeczki. Można by tu w pełni zastosować cytaty z recenzji Jana Lorentowicza o Schillerowskiej prezentacji „Nowego Don Kiszota” w REDUCIE (1923): „Dano nam widowisko czarujące, tym cenniejsze, że odtwarza zapomniany moment naszej kultury artystycznej, że jest rdzennie polskie, wiążące nic zrywanej wciąż tradycji. Najwięcej w całości przedstawienia uderza nawał pracy. Tylko przy jej niezmiernym nakładzie otrzymać można było taką sprawność wykonania, taką rytmiczność ruchów, takie świetne uwydatnienie najdrobniejszych szczegółów”. Kropka w kropkę to samo dziś, choć — z wyjątkiem autorów tekstu i muzyki: Fredry i Moniuszki (Schiller także wystawił „Nowego Don Kiszota” z muzyką Maniuszki) — zmienili się wszyscy współtwórcy spektaklu. Wymienimy ich w równym rzędzie, oddając każdemu należne uznanie za piękne owoce ich wspólnego wysiłku.

Więc reżyserowi Józefowi Wy-szomirskiemu za pełną inwencję inscenizacyjną i wzbogacenie scenariusza tekstowo - muzycznego o harmonijnie wkomponowane w całość inne fragmenty utworów Fredry i Moniuszki. Włec Andrzejowi Stopce za prześlizną w kształcie, kolorycie i humorze scenografie, równie szczeropolską jak wiersz Fredry i jak muzyka Moniuszki. P. Stefanowi Sutkowskiemu za fachowe i sprawne kierownictwo muzyczne widowiska, p. Romanie Krebs za udoskonalenie warsztatu aktorów dramatycznych o umiejętności wokalne, zaś p. Jerzemu Dobrzańskiemu za opracowanie muzyczne i dobre brzmienie orkiestry kameralnej. P. Wandzie Szczuce za czuwanie nad swobodą gestu i ruchu scenicznego oraz za układy taneczne, a p. Krystynie Mazur za nieskazitelną czystość dykcji aktorskiej i trochę o barwę Fredrowskiego wiersza.

Krotochwila we trzech aktach wierszem ze śpiewami „Nowy Don Kiszot czyli sto szaleństw”, przerobiona przez Fredrę w r. 1822 z młodzieńczej jednoaktówki „Intryga na przedce”, nie jest przez znawców i historyków literatury włączana do arcydzieł i w hierarchii wielkości umieszcza się ją dość daleko za „Mężem i żoną”, nie mówiąc już o „Zemście”, „Ślubach panięskich” czy „Dożywociu”. Lecz jakie w niej nieprzebrane drzemia pokładają wesołości, skoro nawet z rzewnej raczej liry Moniuszki potrafiła wydobyc tyle akcentów muzycznego komizmu. Ta muzyka jest zresztą jednym z większych uroków obecnej inscenizacji i słuszenie do niej powrócono, bo — sądząc po recenzjach — wszystkie inne partytury (zbiorowe w pierwszych przedstawieniach lwowskich, krakowskich i warszawskich, później Noskowski, Maklakiewicz) nie komponowały się tak pięknie z rozkosznym rytmem i humorem Fredrowskiego wiersza.

Jak się już rzekło we wstępie, aktorzy TEATRU NARODOWEGO dowiedli, że umieją grać Fredrę wesoło i naturalnie, z brawurą lecz bez szarży, szukając źródeł komizmu w tekście, nie poza nim, jak to dziś w modzie. Andrzej Zarnecki tworzy z roli tytułowej ogromnie sympatyczną figurę romantycznego urwłoka, który swój młodzieńczy temperament i żądze przygód wyławaduje, do czasu, w naiwnej donkiszoterii. A śpiewa z taką swobodą i tak dowcipnie, jakby nigdy nie innego nie robił. Aktorskie i wokalne wykonanie duetów, tercetów i chórów jest tu w ogóle elementem najprzeźniejszej zabawy. Poza Zarneckim wiodą w tym prym: Krystyna Kamińska (pełna werwy karczmarza Maigorzata), Ignacy Machowski (zachwycający skalą środków aktorskich burmistrz Sędziłko) i Bogdan Baer w roli bardzo śmiesznego polskiego Sancha Pansy. Gluchy Kmołtr w wykonaniu Adama Mularczyka to istny majstersztyk komizmu. We wdzięcznej gromadce Wieśniaczek rozpoznajemy (jak to w REDUCIE bywało) same „solistki”: Alicję Bobrowską, Barbarę Fljewska, Danutę Mniewską, Barbarę Rachwałską, Jolanę Russek, Grażynę Staniszkowską, Marię Wachowiak i Aleksandrę Zawieruszanę. Grają nado z powodzeniem: Kazimierz Opaliński (Kasztelan), Lech Ordon (Postyllon), Zbigniew Kryński (Wójt) i inni. I jest także jedna śpiewaczka zawodowa — Maria Sutkowska.

Mamy więc w tej chwili na scenach warszawskich dwa żarty na temat donkiszoterii: jeden 17-wieczny angielski (w KLASYCZNYM) i jeden 19-wieczny polski (w NARODOWYM). Angielski jest bardziej ziośliwy, polski dobrośliwszy, bez krztyny jadu, ale jakże dowcipny i zabawny i jak świetnie podany zarówno przez autora, jak i przez teatr.

HALINA PRZEWOSKA

„Nowy Don Kiszot” - Fredry T. Narodowy 65/66